

## ROZDZIAŁ PIERWSZY, W KTÓRYM PAN KICKICEK ROZWALA TELEFON

Kléber zerknął z ukosa na brata. Bystrzak półgłosem naśladował dźwięk drzwi w wagonie metra: „Piii... klap”.

Na stacji wsiadł mężczyzna i zajął miejsce obok Klébera. Trzymał na smyczy owczarka niemieckiego. Bystrzak niespokojnie poruszył się na ławce.

— Pan ma psa — powiedział.

Właściciel owczarka zmierzył wzrokiem pasażera, który się odezwał. Był to młody mężczyzna o szeroko otwartych jasnych oczach.

— Pan ma psa — powtórzył Bystrzak coraz bardziej podniecony.

— Tak, tak — potwierdził Kléber, usiłując przywołać go do porządku zmarszczeniem brwi.

— Mogę go pogłaskać? — zapytał Bystrzak, wyciągając rękę do psa.

— Nie! — warknął Kléber.

Mężczyzna kolejno popatrzył na braci, jakby oceniał sytuację.

— Ja mam królika — zwrócił się do niego jasnooki.

— Nie odzywaj się do ludzi, których nie znasz — upomniał go Kléber. Po czym zdecydowanym tonem powiedział do człowieka z psem: — Przepraszam pana, on jest niedorozwinięty.

— Gu-pek — sprostował jasnooki, rozdzielając sylaby.

Mężczyzna się podniósł i bez słowa pociągnął psa za smycz. Wy-  
siadł na następnej stacji.

— Dupek — mruknął Kléber.

— Ojej, jakie brzydkie słowo — skomentował jego brat.

Kléber westchnął melancholijnie i zerknął w okno. Ujrzał w nim odbicie swej sympatycznej gęby intelektualisty w cienkich okrągłych okularkach. Uspokojony rozparł się na ławce i popatrzył na zegarek. Bystrzak, który bacznie śledził każdy jego gest, podciągnął rękawy bluzy i krytycznym wzrokiem obejrzał swoje nadgarstki.

— A ja nie mam zegarka.

— Dobrze wiesz dlaczego. Cholera, to tu!

— Ojej, jakie brzydkie słowo.

Kléber ruszył do wyjścia i gdy już miał wysiąść, obejrzał się. By-  
strzak, który dopiero co szedł za nim, teraz stał w miejscu.

— Szybciej! — krzyknął Kléber.

— Chcą mnie przetnąć!

Kléber złapał go za rękaw i wyciągnął na peron. Automatyczne  
drzwi zamknęły się za nimi. Klap.

— Nie przetnęły!

Kléber znów chwycił brata za rękaw i powłókł za sobą do schodów.

— A czemu nie mam zegarka?

— Miałeś i rozbiłeś, żeby sprawdzić, czy w środku jest ludzik, pa-  
miętasz?

— Taaak — przyznał Bystrzak z uśmiechem pełnym zachwytu.

— Był ludzik w środku?

— Nie! — wrzasnął Bystrzak z takim samym zadowoleniem.

Przed schodami ruchomymi zahamował tak gwałtownie, że dwie  
osoby wpadły na niego od tyłu. Zaprotestowały oburzone:

— Proszę uważać!

Kléber znowu pociągnął brata za rękaw, żeby wszedł na schody.  
Bystrzak z przerażeniem zaczął oglądać sobie stopy, unosząc je na  
zmianę. Upewnił się w końcu, że nic się z nimi nie dzieje, i podniósł  
głowę.

— Widziałeś? — powiedział, gdy wyjechali na górę. — Wcale się  
nie boję. A czemu w sierodku nie ma dzidzika?

— Ludzika, nie: dzidzika — poprawił go Kléber, aby uciąć jego nie-  
kończące się „a czemu...?”.

Usłyszał, jak brat mamrocze:

— To dzidzik, dzidzik.

Jego upór naprawdę zasługiwał na medal. Bystrzak przez pięć mi-  
nut nucił pod nosem:

— Dzidzik, dzidzik...

Kléber rozglądał się dokoła, nie bardzo wiedząc, którędy iść. W Pa-  
ryżu byli dopiero od dwóch tygodni.

— Daleko jeszcze?

— Nie wiem.

Kléber był wkurzony. Nie poznawał okolicy. Bystrzak przystanął  
na środku chodnika i skrzyżował ręce na piersi.

— Chcę do taty.

— Tu go nie ma. Jest w Marne-la-Vallée, a my jesteśmy w...?  
W Pa...?

— W paski! — dokończył Bystrzak.

I zaczął się śmiać, że wyszedł mu taki fajny dowcip. Kléber uśmiechnął się blade. Bystrzak miał rozum trzyletniego dziecka, trzypółletniego w dobre dni.

— Jesteśmy w Paryżu. Chodź, musimy się pospieszyć, bo zastanie nas noc.

— A będą wilki?

— Tak.

— Wiesz, mogę je rozwalić swoim lewolwerem.

Kléber zdusił w sobie drwiący śmiech. Ruszyli dalej. Nagle Kléber rozpoznał pnącą się ulicę. To tu. Numer 45 przy ulicy Kardynała Le-moine'a.

— Nie — zaprotestował Bystrzak przed drzwiami.

— Co znowu?

— Nie chcę, tu jest stara pani.

— Słuchaj, to nasza cioteczna babcia, siostra mamy naszej...

— Jest brzydka.

— Nie jest za ładna.

— Śmierdzi.

Kléber wyciągnął rękę do klawiszy, by wprowadzić kod otwierający wejście, i zmarszczył brwi.

— Zaraz, jak to było... cztery... sześć...

— Cztery, sześć, be, dwanaście, tysiąc, sto — wyrecytował szybko Bystrzak.

— Cicho. Cztery... sześć...

— Dziewięć, dwanaście, be, cztery, siedem, dwanaście...

Kléber patrzył na klawisze kompletnie oglupiały.

— Ciskaj na guziki, ciskaj! Dziewięć, siedem, dwanaście...

Bystrzak zaczął wgniatać klawisze na chybił trafił. Drzwi zazgrzytały i otworzyły się.

— Wygrałem!

W rzeczywistości z klatki wychodziła właśnie gruba pani. Bystrzak potracił ją, przepychając się do środka.

— Nie wolno tak szturchać ludzi! — krzyknął za nim Kléber. — Przepróż panią!

Bystrzak dwoma susami przesadził już pięć stopni. Odwrócił się i rzucił wesoło:

— Przepraszam panią! Jesteś za gruba na te drzwi!

I ruszył dalej galopem. Kléber próbował go dogonić, wołając:

— Na trzecie! Na trzecie!

Bystrzak wbiegł na szóste piętro kamienicy, zbiegł na drugie i wbiegł jedno wyżej. Znieruchomiał w końcu na podeście, z wywieszonym językiem, dysząc jak pies. Kléber na chwilę oparł się o ścianę, tak bardzo się zmęczył.

— Ciskasz na guzik?

Bystrzak bał się dźwięku dzwonka. Zatkał sobie uszy, kiedy jego brat dzwonił.

— No, ale ja już jadłam — oświadczyła staruszka, która otworzyła drzwi. — Starzy ludzie jedzą o wpół do siódmej. Może młodym obojętne, kiedy jedzą, ale ja swoją zupełną o wpół...

— Zig, zig, zig — zaczął przedrzeźniać ją Bystrzak, zaintrygowany zgrzytliwie brzmiącymi słowami, które wygłaszała.